

BIBiK

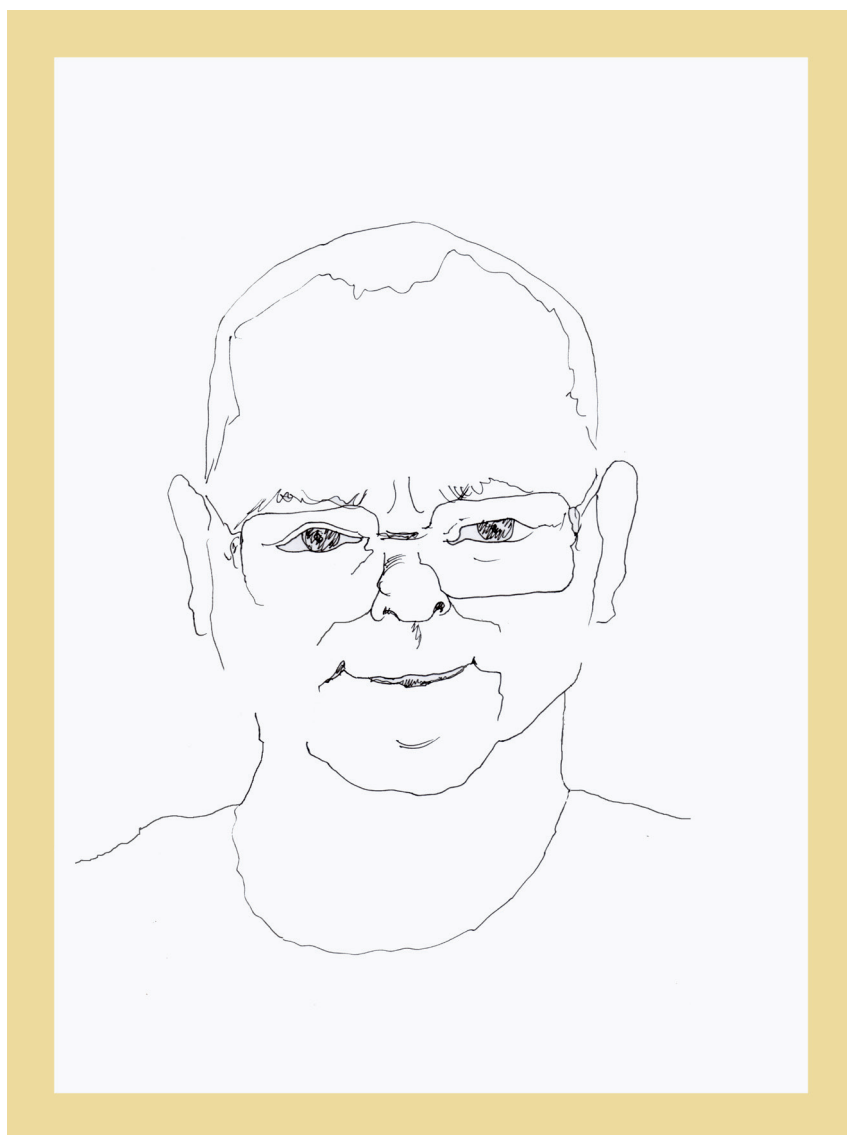
Biuletyn Informacji Bibliotecznych i Kulturalnych
Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Łodzi

Rok 23 Nr 5 (175)

13 grudnia 2019

SPOTKANIE

Z MARKIEM ŁUKASZEWICZEM



PROWADZENIE SPOTKANIA
JUSTYNA CZUPIŁKA I DR HENRYK PUSTKOWSKI



Marek Łukaszewicz

Urodził się 30 czerwca 1958 roku w Dzierżoniowie. Studiował nauki ekonomiczne w Łodzi i Paryżu i uczył się malarstwa w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Pięknych w Paryżu, zaś w późniejszym już wieku uczęszczał na zajęcia na Kierunku Filozofii Uniwersytetu Łódzkiego. Jest pomysłodawcą „Baletu z różdżką”, który został zaadaptowany przez Polski Związek Gimnastyczny jako potencjalny sport nieolimpijski, jak i jest autorem pakietu gier logicznych „Octonovem”. Jego przypowieść „Vir deformis, czyli człowiek ułomny” ukazała się w 2019 roku w miesięczniku Twórczość. Napisał wstępne linie melodyczne i słowa do kołysanek pod zbiorczym tytułem „Księżycowe Kołysanki Pana Dudka”.

VIR DEFORMIS, CZYLI CZŁOWIEK UŁOMNY

FRAGMENT

MAREK ŁUKASZEWICZ

Jedne poglądy zastępują inne, a my wciąż doskonalimy nasze wyobrażenie o rzeczywistości. Budujemy, reagujemy, dążąc do celu. Jesteśmy w stanie ustawicznej metamorfozy. To zmienia nas, a czasem i świat. Zauważyłem, że jedni mają skończoną formę i szczytą się nią, niczym motyl, doskonałym, choć krótkotrwałym powabem. Inni w swojej szpetocie zmieniają swoje wnętrza i pozostają nieodgadnieni dla otoczenia, które widzi w nich zaledwie brzydką powierzchowność. Pewien był larwalny, wbrew prawom natury, miał w sobie taką moc, że nawet piękno go pożądało, a on odwzajemniał to pierwotne uczucie.

Byłem zwykłym szewcem, który rozmawiał z Bogiem. Stwórca, nie zważając na moją upośledzoną powierzchowność, obiecał mi, że poznam naturę duchowego światła. W dzieciństwie jakimś zrzędzeniem losu, pomimo mojego niskiego pochodzenia, pewien ksiądz uczył mnie sentencji łacińskich. A ja coraz bardziej pragnąłem rozumieć i kochać. Rozmowy z księdzem, a później, gdy umarł, z Bogiem dawały mi rozumienie. Miłość przepelniała moje jestestwo. Jednakowoż miałem w sobie coś, co może jest, a może nie jest, grzechem – zawsze pożądałem kobiet.

Szedłem zatłoczoną ulicą. Ludzie uśmiechali się na mój widok. Niektórzy z trudem powstrzymywali śmiech, pomieszany z odrazą. Czuję się nieswojo, doskonale znając przyczynę tego zachowania. Wiedziałem jedno – nie byłem taki, jak inni. Co do mojej powierzchowności nie miałem złudzeń – byłem najokropniejszym potworem, jakiego nosiła ziemia. Nie ukrywam, byłem sam ze sobą szczęśliwy. Moje ciało, choć niezwykle szpetne, służyło mi w pełnym zdrowiu. Ale nawet ci najbardziej scho-



Łzy przylaszczki to niebieska rosa,
ogień trawi Feniksa...
po czym znów błękit nieba

rowani, trędowaci czy gruźlicy, uważali się za lepszych ode mnie. Niech i tak będzie.

Nagle niezwykle piękna kobieta uśmiechnęła się do mnie. Dotychczas śmiech kojarzył mi się z obelżywą radością, jakiej ludzie doznawali na mój widok. Tym razem jednak byłem podekscytowany. Kobieta uśmiechała się przyjaźnie. Po chwili odezwała się do mnie:

– Chodźmy porozmawiać – rzekła ciepłym, niskim głosem.

Zdumiony, poszedłem za nią. Widać było, że nie jestem bogaty, a mimo to pomyślałem, że może ktoś chce mnie ograbić. Uśmiechnąłem się z powodu niedorzeczności moich myśli.

– Pewnie snujesz domysły, czego od ciebie oczekuję – szepnęła.
– Nie wiem, pani. Moje serce raduje się i trwoży zarazem.

Skręciliśmy w bramę przyozdobioną rzygaczami. Weszliśmy po schodach. Kobieta zapukała i po chwili drzwi otworzyły się bezszelestnie. W drzwiach stał starzec bardziej pomarszczony niż stulecie. Mimo to poruszał się całkiem sprawnie.

Poszliśmy do wielkiego salonu i usiedliśmy za stołem pokrytym zielonym aksamitem. Starzec podał miód. Spróbowałem. Trójniak smakował wymiennie. Zapomniałem o swojej ułomności. Gdy byłem już lekko pijany, oczy dosłownie zaczęły wychodzić mi z orbit na widok tajemniczej damy. Starłem się ukryć swoje pożądanie, lecz wypieki na twarzy i wzrok wlepiony w dekolt zielonej sukni obnażały moje intencje. Nigdy jeszcze nie byłem z kobietą, a już czułem się strasznie winny. Wtem, zamiast kary, której oczekiwałem, dobiegł mnie, jakby z oddali, aksamitny głos:

– Na dziś masz już dosyć. Przyjdź jutro o tej samej porze. Tylko zapamiętaj drogę do mego domu.

„Winny, winny!” Natrętnie myśli tłoczyły mi się w głowie.

Gdy znalazłem się na zewnątrz, spojrzałem raz jeszcze na rzygacze. Były szkaradne. Ale czy sam nie przypominałem maskarky?

– Boże, jakże kocham życie! Jak pogodzić miłość cielesną z miłością doskonałą, miłością ducha? Szczególnie przy takiej przeklętej cielesnej powłoce jak moja.

Nagle ocknąłem się przed drzwiami do mojej izby. Przeraziłem się. Czy będę w stanie jutro odnaleźć drogę do mieszkania tajemniczej damy?

Następnego dnia błąkałem się po ulicach Krakowa. Jednak nie potrafiłem przypomnieć sobie drogi do pani w zielonej sukni. Zdesperowany, miałem już zaniechać poszukiwań, kiedy nagle osaczyła mnie grupa rozbawionych żaków. Młodzież była już lekko pijana.

– Vae victis! – krzyknął jeden z nich, co oznaczało tyle, co: „nieszczęście pokonany”.

Salwa śmiechu znów uderzyła we mnie. Zawsze zazdrościłem uczonym ich wiedzy, a studentom ich poczucia przynależności do wspólnoty, więc powiedziałem:

– Zazdroścę wam tego, że nie jesteście sami w życiu.

Śmiech ucichł. Jeden z żaków rzekł:

– Vae sol.

Po czym dodał:

– „Nieszczęście samotnym”, to tyle oznacza. Może się jeszcze spotkamy.

Snułem się ulicami, nie patrząc, dokąd niosą mnie nogi. Nagle zaczął padać deszcz. Coraz mocniej i mocniej. Byłem już przemoknięty, kiedy lunęła na mnie struga wody. Spojrzałem w górę. To był rzygacz na dachu domu tajemniczej damy. Odetchnąłem z ulgą.

Woda dosłownie płynęła korytarzem, gdy zapukałem do drzwi. Otworzył stary służący i po chwili pojawiła się również dama. W rękę trzymała nowe ubranie:

– Idź, wykup się i przebierz – rzekła.

Nie tylko nie wyrzucono mnie za drzwi, co już napawało mnie radością, ale jeszcze ofiarowano mi nowe ubranie. Wszedłem do łaźni. W rogu stała drewniana balia wypełniona parującą

wodą. Zdziwiłem się na myśl o tym, że miałem się wykąpać. Rozebrałem się i zanurzyłem w wodzie. Gdy obmyłem ciało, poczułem rozkosz. Wytarłem się lnianym płótnem. Ubrałem się – szaty leżały na mnie tak, jakby były szyte na miarę. Nieśmiało wyszedłem z łaźni.

– Wejść do komnaty – powiedziała kobieta.

Poczułem zapach perfum. Miałem nadzieję, że może dla mnie tak pięknie pachnie, ale szybko odrzuciłem tę myśl, jako nedorzeczną. Pomyślałem, że być może zjawi się jakiś znamienity gość. Jak się później okazało, miałem rację. Ciągle dręczyło mnie pytanie, czego oczekiwała ode mnie dama. Czułem się jak wędrowny błazen. Może miałem rozbawić kogoś swoim wyglądem?

Zaledwie usiadłem, kiedy obcy mężczyzna cicho wszedł do salonu. Przywitał się z nami lekkim skinieniem głowy, po czym wygłosił kilka mądrości, które na zawsze zapadły mi w pamięć. Brzmiały one tak:

– Mistrzostwo jest także stanem umysłu, który arbitralnie uznaje, że może już nauczać innych. Wówczas może się zdarzyć, że to, co w sobie tłumimy, jakiś pokład wiedzy, wypłynie do świadomości. Wówczas nie powinniśmy jednak zamykać się na świat, by nasz potencjał nie obumarł bez ożywiającej wymiany doświadczeń. Dojrzałością nazywam zaś szacunek dla człowieka, który zmierza ku temu, by się stać godnym szacunku.

– Czy i ja posiadam w sobie jakąś wiedzę, skoro tak niewiele wiem? – spytałem.

– Już zyskujesz szacunek w moich oczach – rzekł nieznajomy.

Nadeszła bardziej oficjalna część przyjęcia. Piliśmy i dyskutowaliśmy na tematy, o których przedtem zaledwie słyszałem. Nieznajomy nazywał się Andrzej z Wiślicy i właśnie przybył z Konstancji, gdzie dwa lata wcześniej spalono na stosie Jana Husa. Jego ostatnie słowa, na widok nabożnej kobiety, która podkładała chrust pod jego stos, brzmiały: „O, święta na- iwności!”

Gdy usłyszałem tę historię, powiedziałem:

– W ogniu można spłonąć, ale też uszlachetnić swoją duszę. Poczułem wstyd, jakbym to ja był tym, kto podpalił stos tamtego mędrca.

Zaczerwieniłem się, spoglądając na damę. Ona zaś powiedziała:

– W tobie płonie ogień. Widać to w twych oczach. Dlatego tu jesteś.

Największym szczęściem jest miłość. Tyle zrozumiałem z nauk mistrza Andrzeja. Zawsze myślałem, że wiedza decyduje o wartości człowieka. Tymczasem jest ona narzędziem, z którego można zrobić zarówno dobry, jak i zły użytek.

– Nad czym tak dumasz? – spytała dama.

Ocknąłem się ze swoich myśli. Nagle obecni stali się realni. Odplynęli, gdy myślałem i myśli stały się moją realnością. Teraz znów wróciłem, wzbogacony o przemyślenia.

– Chyba można pływać nie tylko po Wiśle, ale także w myślach – powiedziałem nieśmiało.

– Kto cię szkolił? – spytał Andrzej z Wiślicy.

– Patrę, myślę i zapamiętuję różne mądrości, zasłyszane od ludzi. Poza tym wiele przekazał mi ksiądz, który nauczał mnie w dzieciństwie – odparłem.

– Co myślisz o Janie Husie? – spytał nagle Andrzej z Wiślicy.

– Zginął człowiek. Słyszałem, że był dobry, i że był wielkim uczonym. A tamta kobieta od stosu... Zapewne myślała, że... – zacząłem, ale przerwała mi tajemnicza dama:

– Zamilcz, źli pójdą na potępienie.

– Ale potępienie to zło, które wynika ze złej intencji – dodałem natchniony.

– Kara i nagroda to wymierzanie sprawiedliwości – stwierdziła dama apodyktycznym tonem.

Nagle uświadomiłem sobie, że prowokuję konflikt, którego nikt by tu nie chciał. Powiedziałem:

– Nie wiem, czy kochać całym jestestwem nie jest bluźnierstwem. Może powinniśmy czuć tylko Boską miłość?

– O czym ty mówisz? – zaniepokoił się Andrzej z Wiślicy.

– Bo gdy kocham, to chcę mieć. Taka jest moja ułomna natura – powiedziałem z lekkim strachem.

Rozeszliśmy się. Szedłem pogrążony w zadumie, gdy nagle usłyszałem przenikliwy krzyk:

– O, bogacz!

Nie zdążyłem obejrzeć się, by ocenić, skąd dobiega ten głos. Poczułem nieznośny ból od ciosu w głowę. Zapadłem w przepaść niebytu.

Obudziłem się w piekle. Sam Lucyfer uśmiechnął się do mnie i rzekł:

– Witaj w moich skromnych progach! Widzisz, to tylko ludzka wyobraźnia deformuje mnie i oszpeca. W rzeczywistości nie skrzywdziłbym nawet grzesznika.

Diabeł zaśmiał się donośnie. Wówczas z oddali usłyszałem pieśń, która, jak się okazało, była elementem dziwnej liturgii – obrzędu, jakiego nigdy nie zapomnę. Odbывała się ona po łacinie, ale, po chwili, ta sama pieśń zabrzmiała po polsku:

– Homine potente, opertus paupertatis, wszechmocny człowiek, w biedę odziany...

Po skończonej mszy Lucyfer wręczył mi kielich:

– Napij się – rzekł.

Nagle poczułem, że się topię. Ktoś mną targał. Otworzyłem oczy, znów czując ból po ciosie w głowę. Zachłystywałem się wodą. Strażnicy wyciągali mnie z Wisły za ręce. Byłem prawie nagi.

– Kim jesteś? – spytał gwardzista.

– Ograbionym biedakiem – do mojej świadomości docierał fakt, że diabeł istniał tylko w moim śnie.

– Śpiewałeś dziwną liturgię po łacinie. Wzywałeś imię szatana. Musimy to wyjaśnić.

Gwardziści przykryli mnie kocem i przeprowadzili przez miasto w kierunku aresztu. Ludzie to śmiali się, to współczując kiwali głowami. W końcu trafiłem do lochu, którego wspomnienie zachowałem do dziś.

Są rzeczy mniej lub bardziej oddalone od naszej osobowości. Czasem błądzić to znajdować, a czasem błądzić to gubić. Ważne, by wrócić i poskładać się w całość. Większość ludzi się zagubiła, więc pomóżmy sobie, my, sieroty, odnaleźć Boga w nas samych. To rola każdego z nas, by pomagać bliźniemu odnaleźć siebie. Ten, kto odnajdzie siebie, będzie widział więcej. Ten, kto się zagubi, zamąci wzrok nie tylko sobie, ale i innym. W interesie ludzi leży, byśmy się odnaleźli. Wierzę, że człowiek, który żyje w zgodzie z czystsza częścią natury, jest

lepszy, niż miotający się zagubiony strzęp, jakim najczęściej jesteśmy, zanim odnajdziemy pełnię.

Usłyszałem przez sen, jak drzwi do mojej celi nieprzyjemnie zaskrzypiały. W asyście strażnika wszedł inkwizytor. Obudziłem się i poczułem przerażenie. Podniosłem się i z szacunkiem ukloniłem przed dostojnikiem.

– Widzę, że masz dworskie maniery, choć, z tego, co wiemy, twoja matka była zwykłą mieszczką. Do niedawna nie doszliśmy tego, kim był twój ojciec. Twoja matka przy ostatnim namaszczeniu powiedziała, że nie może tego zdradzić. Wyjawiała jednak wiele innych informacji – rzekł inkwizytor – Dowiedzieliśmy się, że otrzymała dużo złota, które ukryła. Zdradziła nam tę tajemnicę. Mamy to złoto. Do tej pory zostawiliśmy ci samemu sobie, bo i co nam po zwykłym śmiertelniku, i po co zwykłemu śmiertelnikowi tyle złota. Jednak niedawno zgłosił się do nas twój ojciec. To jest bardzo ważna osoba. Zwracamy ci nie tylko wolność, ale i złoto. Żyj odtąd w szczęściu i błogostwie naszego Stwórcę za łaski, którymi cię obdarował.

Zaniemówiłem. Pokłoniłem się znów, nie będąc pewnym, czy śnię. Ale nie, wszystko było realne: i inkwizytor, i strażnik, i ja.

– Dziękuję, Wasza Ekscelencjo. Czy to oznacza...?

– Nie musisz dziękować. Nasz człowiek zaprowadzi cię do nowego mieszkania. Przygotuj się na spotkanie z kimś, kto wiele dla nas znaczy.

Czułem się niekomfortowo jako pan. Nigdy nie lubiłem wywyższania się innych, a teraz sam byłem wywyższony. Cóż, moja powierzchowność nie uległa zmianie, dusza też pozostała ta sama. Dusza upokorzona przez niełatwe życie.

– Panie, idzie gość – rzekł mój nowy służący.

Nie odpowiedziałem. Nie byłem przyzwyczajony do posiadania czegokolwiek, nie mówiąc już o innym człowieku.

– Witaj synu. Jestem Borzywoj – nieznanzy wielmoża uściśnął mi dłoń i objął mnie ramionami. Łzy napłynęły mi do oczu, lecz ciągle nie byłem pewny, czy to sen, czy jawa. Przyjrzałem się jednak uważnie rysom gościa. O ile można mnie porównać do kogokolwiek, to chyba odnalazłem niejaki podobieństwo. Miłość mieszała się z trwogą, która spowodowała, że nieco się wycofałem. Nabrałem dystansu.

– Przepraszam – rzekł ojciec.

Nie chciałem udawać wzruszenia, za co mocno się ganiłem.

Ojciec spojrzał na mnie i wyjął zza pasa miecz. W jego ręku zabłysnął klejnot, pierścień z herbem, który z namaszczeniem nałożył mi na palec.

– Dziękuję – rzekłem zaniepokojony i zmieszany zarazem.

– Wiedz, że należysz do dynastii pochodzącej z czeskich Przemyslidów. Nie chcę cię do niczego nakłaniać, ale może czas, byś znalazł sobie żonę.

– Z moim wyglądem? – prawie zapłakałem.

– Bogactwo i pochodzenie uczynią cię atrakcyjnym – powiedział dobrotliwie Borzywoj.

– Wykształcę cię na prawdziwego rycerza – zaśmiał się ojciec, a ja przeraziłem się nie na żarty.

Świat widziany z punktu widzenia wielmoży. Tego nigdy nie przewidywałem. I tym razem mój Bóg do mnie przemówił, jak zawsze w chwilach, które były najistotniejsze w moim życiu:

– Widzisz, już stałeś się bogaczem i rycerzem. Lecz nie o takim bogactwie wcześniej ci mówiłem. Przeżyjesz przygody i rozterki, które cię wzbogacą. Pozostaniesz jednak posłuszny swoim popędom. Żądam jednak od ciebie, byś stał się rycerzem ducha.

– Teodorze, co się dzieje? – spytał Borzywoj.

– Nie wiem, chyba...

– Nic nie musisz mówić, sam widzę. Zawsze sądziłem, że Bóg nie miesza się do ziemskich spraw. A tutaj zobaczyłem wokół ciebie wielkie światło.

– Ojczy, chcę się uczyć.

– I tak się stanie. Pójdiesz na Uniwersytet i zostaniesz uczonym.

Następnego dnia znalazłem się w murach Uczelni. Spotkałem grupę żaków. Jeden z nich, Maciej z Gąbina, zapytał:

– Witaj, tym razem chciałbym zadać ci tylko jedno pytanie: „Czy nazwa »but« istnieje realnie?”

To mnie zastanowiło. Poczułem się w swoim żywiole. Odpowiedziałem:

– Buty istnieją realnie, nawet jeśli ich nie nazwiemy. A nazwa »but« też może istnieć, ot, choćby na papierze.

Żacy spojrzeli na mnie przenikliwie i złośliwe uśmiešky zniknęły z kącików ich ust.

– Czy wiedziałeś coś o uniwersaliach i rzeczach jednostkowych?

– Nie, ale szkolili mnie szewc. Kto jak kto, ale ja wiem, co to jest but realny i jak on powstaje. Nazwa tylko zapowiada o realności rzeczy, a gdy szewc mówi do mnie: „Uszyj buty!”, to już je widzę, choć rzeczy jeszcze nie ma – powiedziałem, a koledzy uśmiechnęli się.

Czas mijał, a ja z wielką pilnością uczyłem się filozofii. Nie śmiałem nawet myśleć o damie w zieleni, która, jak powiedział mi stary sługa, musiała opuścić Kraków.

Jak zauważyłem, życie żaka to nie tylko zdobywanie skarbu, jakim jest wiedza. Któregoś dnia koledzy otoczyli mnie i śmiejąc się, powiedzieli:

– Tymczasem chodźmy do karczmy.

Znów się wystraszyłem.

Nie przepadałem za nadmiernym piciem.

W głowie huczało mi od nadmiaru wypitego piwa. Maciej z Gąbina, ten siłacz, nagle rzekł:

– Tempus edax rerum, czas niszczy wszystko – po czym osunął się na podłogę.

Inni kompani byli w podobnym stanie już od jakiegoś czasu. Wezwałem karczmarza, zapłaciłem kilka groszy i słudzy zanieśli ich do mojej kamienicy. Rano wszyscy byliśmy już na nogach.

– Dziękujemy! Jak pięknie żyjesz! Opowiedz nam o sobie.

Musiałem opowiedzieć historię swego życia. Kompani kiwali głowami ze zrozumieniem. Nagle ktoś zapukał do drzwi. Otworzyłem. To była dama w zieleni.

– Dzień dobry – wyszeptalem zmieszany. Moje oczy błyszczały.

Dama weszła do pokoju i dopiero wówczas zobaczyła moich

kompanów. Oni również nie wykazali swojej zwykłej zadziorności, tylko nisko się pokłonili.

– Nie będę wam przeszkadzać – dama była równie zaskoczona, jak i ja. Po chwili wyszła, zostawiając mnie w stanie odurzenia falą miłości, która nagle spłynęła na mnie.

Nawet nie zdążyłem zapytać, czy mogę ją odwiedzić. Ponieważ zataiłem fakt, że poznałem tajemniczą damę, to zaskoczenie kompanów było absolutne.

– Nie wiedzieliśmy, że znasz tak piękną kobietę. Jestem pełen podziwu – rzekł Maciej z Gąbina.

Ja jednak czułem się rozczarowany i niezadowolony. Goście przeszkadzili mi w spotkaniu z damą we zieleni. Ale cóż, czasu się nie da cofnąć, chyba że postanowi tak sam Bóg.

Koledzy rozeszli się, a ja pozostałem sam na sam ze swoimi myślami. Dlaczego dama pojawiła się u mnie? Od kiedy wiedziała o moim pochodzeniu? Czy miałem u niej choć cień szansy? Niczego nie byłem pewny. W drodze do jej kamienicy krok mój był szybki, a serce biło coraz mocniej. Gdy dotarłem do bramy z rzygaczami, byłem już rozpalony do czerwoności. Wspiąłem się po schodach i zapukałem.

– To ty! – dama uśmiechnęła się promiennie.

Po drodze ułożyłem pieśń, którą jej zaśpiewałem, przełamując tym własną nieśmiałość:

Mróz ściął ziemię, pokrył szronem,

Łot sikorki cieszy niebo.

Zieleń oczu mojej damy

Nawet kwiat chce wielbić ciebie.

Na witrażu cuda niebios:

Ktoś wyrzeźbił płatki śniegu.

Chcę nieśmiałość swoją przemóc

I zatrzymać gwiazdy w biegu.

Stanąłem i czekałem. Ona powoli podeszła i pocałowała mnie w rozgrzany policzek. O mało nie zemdlałem. Idąc na uczelnię, śpiewałem i tańczyłem, tak wielkie było moje szczęście. Ludzie śmiali się, a ja miałem wrażenie, że wszyscy domyślają się przyczyny mej radości. Kobieta mnie pocałowała.

Gdy byłem na Uczelni, koledzy otoczyli mnie i zaśpiewali w taki sposób, bym poczuł się jak najbardziej upokorzony:

– Vir deformis caritate plenus, vir deformis in caritate, vir deformis caritate plenus.

Zostałem zmiażdżony tymi słowami. Słowa te znaczyły tyle, co: „brzydal przepelniony miłością”. Widząc moje łzy, Maciej z Gąbina powiedział:

– Mamy 15 października i to są beania, twoje żakowskie otrzęsiny. Wszyscy to przechodzili.

Nagle koledzy założyli mi koronę na głowę i zaintonowali żakowską pieśń, „Breve regnum”:

Do krótkiej władzy jest podniesione

To, co nisko położone,

Co wyniosłe, jest strącone.

Szybko mija zmienny czas.

Działaj z werwą i ochotą,

Bystrość żaka twoją cnotą,
Młodość życia jest przed tobą,

Niech do pracy wiedzie nas.

Z Krakowa, z stolicy,
Niczym lilia piękności,
Wśród tysięcy wyszukany,

Na pierwszego już wybrany,

W osiem dni włodarzem był,
Wzmacniał władzę ile sił,
Niczym król w pałacu żył,

Czas go różgą wkrótce zbił.

W czasie, gdy panował,
Naukę zaniedbał,
Do lekcji się nie szykował,

Cały tydzień minął w mig.

Tak więc zostałem królem. Mogłem rządzić, przynajmniej przez kilka dni. Cóż to takiego, władza? Przemija, jak wszystko na tej ziemi. Człowiek przemija, władza przemija. Nie potrafiłem nigdy zrozumieć, dlaczego ludzie tak takną władzy. Władza wiąże się z przymusem. Zaszczyty – z próżnością. Kiedy do szczęścia wystarczy tak niewiele. Chciałem zrozumieć, dlaczego Bóg stworzył człowieka takiego, jakim jest. Człowiek dąży do panowania. Nawet, gdy panuje nad drugim człowiekiem, czasami nie panuje nad sobą. Wiedziałem coś o tym. Mój wzrok często błękał się po dekoltach kobiet. Teraz byłem zakochany, pragnąłem tylko jej przychylności. Ganiłem się za to, gdy pomyślałem, że i uroda przemienie. Może później odnajdziemy się w niebie? Znów otrzeźwiałem... Przecież jeszcze nic się nie wydarzyło, a już nawiązywałem do tego, by być z nią na zawsze. Nagle usłyszałem zgiełk świata zewnętrznego. Siedziałem tak na tronie i tłum żaków radośnie chylił przede mną czoła.

– Czekamy na twoją decyzję, królu.

– Chodźmy odziać i nakarmić przynajmniej jednego biedaka – zawyrokowałem.

– Twoja decyzja jest dziś prawem – odparli żacy i korowód ruszył w miasto.

Znaleźliśmy wystraszonego i zaszytego w zaułku biedaka. Nie zważając na jego protesty, zdjęliśmy z niego ubranie. Znalazła się i nowa odzież. Podarowaliśmy mu pieczonego zająca. Jadł łapczywie, wypływając ogryzione kości na bruk. Gdy był już syty, zażądał piwa. Zaspokoivszy pragnienie, uśmiechnął się z zadowoleniem. Wówczas, powodowany mizerykordią, powiedziałem, że i jemu, temu biedakowi, możemy spełnić jedno życzenie. Bez namysłu wykrzyczał:

– Oskarżam szczury o to, że mnie pogryzły, choć nic złego im nie zrobiłem!

Tak więc przywołaliśmy oskarżonych. Na nasze zawołanie zjawił się tylko jeden szczur, ale przemknął szybko i już go nie było.

– To tylko zwierzęta, więc nie możemy ich zbyt mocno karać – stwierdził ich obrońca, Maciej z Gąbina.

– One czczą szatana. Widziałem to w ich oczach, gdy się od nich opędałem. Najlepiej spalić je na stosie – powiedział biedak.

Pożalowałem, że oddałem na chwilę swoją kilkudniową władzę. Ponieważ jednak nie udało nam się złapać żadnego szczura, to spaliliśmy kilka kukiełek gryzoni. Dobrze, że nie paliliśmy ludzi...

Przyszedł drugi dzień mojej władzy. Pomyślałem o wielkim człowieku – Janie Husie. Chociaż wiedziałem, że zachował się godnie, to spotkał się z nią – ze Śmiercią. Zastanawiałem się, dlaczego Śmierć była kobietą. Zazwyczaj kobiety nie zabijały. Raczej dawały życie. Kiedy zaspany wstawałem z łóżka, dały się słyszeć krzyki. Ktoś najwidoczniej chciał kogoś ostrzec. Wyjrzałem przez okno. Na dziedzińcu pojawiła się straż miejska. Za nią szedł inkwizytor. Poczułem strach. Ubrałem się w mig, by godnie przejść przez miasto. Otworzyłem drzwi.

– Witaj, mój młody przyjacielu – inkwizytor uśmiechnął się obnażając pośliznięte zęby.

– Cóż tu sprowadza Waszą Dostojność? – zapytałem zdeorientowany.

– Powiem krótko. Twój ojciec był z wizytą u króla Niemiec, Zygmunta Luksemburczyka. Jan XXIII w wyniku intrygi musiał oddać królowi Niemiec jakieś bardzo ważne pismo. Okazało się, że dokument ten dotyczy twojej osoby. Masz być otoczony szczególnymi względami. Bezwzględnie udamy się na spotkanie. Uczelnia poczeka.

Widząc moje zaniepokojenie, inkwizytor rzekł:

– Nie musisz się niczego obawiać. Żacy zostali powiadomieni i już obierają następnego króla. Gdy wrócisz, będziesz mógł kontynuować studia.

Wsiedliśmy do kolebki. Konie ruszyły, a ja zamyśliłem się nad zmiennością losu. Miałem, jak się domyślałem, spędzić dłuższy czas w towarzystwie tego ponuraka, który siłił się na uprzejmość.

Już minęliśmy bramę miasta. Przyglądałem się uważnie okolicom. Gdy jechaliśmy wśród pól, zaciekawiło mnie ścielenie lnu w ten piękny, jesienny poranek.

Wówczas inkwizytor pochylił się nade mną i uśmiech wykrzywił mu twarz. Przeraziłem się nieco. Wtedy usłyszałem słowa:

– Moim największym marzeniem jest palenie. Tak już mam. Lubię stosy i, ogólnie, lubię ogień.

Gdy zobaczył, jak pot wystąpił na moje czoło, pogłodził się nerwowo po tysej głowie i powiedział:

– Nie martw się, według mnie, ludzie dzielą się na tych, których dusze potrzebują zbawiennego ognia, i tych, których życie już oczyściło. Ty należysz do tej drugiej grupy... Tak więc, dla mnie, jesteś już oczyszczony.

Nagle przypomniała mi się dama w zieleni i spotkanie z Andrzejem z Wiślicy. Nie bacząc na drażliwość tematu, zapytałem:

– A jak to było z Janem Husem?

– Historię znasz. Zadarł ze wszystkimi. Sprzeciwił się świętemu prawu do posiadania. Marzyła mu się uboga duchowość, kiedy, jak wiesz, duch szlachetny winien być odziany w dostojne szaty.

– Kiedy, według mojej wiedzy, Hus był czysty – nalegałem.

– Czasem polityka sprowadza na stos tych, którzy winni raczej go podpalać, niż na nim płonąć – dodał poirytowany inkwizytor.

Popadłem w zadumę i przysnąłem. We śnie zobaczyłem stos, który, z dużym wysiłkiem, został przygotowany przez inkwizytora. Później, w towarzystwie kata, wyruszył on na poszukiwanie swojej ofiary. Długo błędzili, bo wszyscy ludzie byli już oczyszczeni. Szli od wioski do wioski. Nagle zirytowany kat spojrzał dziwnym wzrokiem na inkwizytora. Ten się wystraszył. Dopiero wówczas spostrzegłem, że kat był Śmiercią ukrytą pod kapturem. W jednym ręku Śmierć trzymała kosę. Nagle chwyciła drugą ręką inkwizytora. Pomimo jego protestów, zaprowadziła go na stos i tam przywiązała do pala. Wówczas ta sama bogobojna kobieta, która przyczyniła się do zguby Jana Husa, zapaliła ogień i zaczęła się śmiać. Śmiała się donośnie, a Śmierć pobrzękiwała kosą, ostrząc ją o kamień. Nagle usłyszałem słowa inkwizytora, dobiegające jakby z innego wymiaru:

– Cierpienie uszlachetnia.

Obudziłem się i zobaczyłem, jak uśmiechnięty inkwizytor pochłania pieczonego kuraka, popijając każdy kęs piwem. Uspokoilem się, zrozumiałem bowiem, że historia tworzy się niezależnie od naszych życzeń. Wbrew sobie pożałowałem czasów, kiedy byłem zwykłym szewcem pogardzanym za swoją powierzchowność.

Tymczasem trafiliśmy do gospody pod Wrocławiem. Inkwizytor zamówił piwo. Mówią, że alkohol przemienia mężczyznę w zwierzę. „Age quod agis” – jak mawiał ksiądz nauczyciel, kiedy byłem dzieckiem. Słowa te oznaczały: „Czyń, co masz czynić. Dobrze, wytrwale, sumiennie”. Tymczasem tu piłem z kuzynem, nieznosnym kompanem podróży. Był on dla mnie niczym wyrzut sumienia, odrzucony, a jednak obecny. Przerwałem studia dla podróży, która nie miała dla mnie zbyt wielkiego znaczenia, choć wielu mogłoby ją uznać za ukoronowanie wysiłku całego życia. Niczego nie stworzyłem, a przyszłe spotkanie z ukochaną było, być może, tylko ukartowaną grą polityczną. Byłem załamany.

– Wypij jeszcze jedno piwo – nalegał inkwizytor – a znajdziesz się w niebie.

– Nie, dziękuję – odparłem niechętnie, choć moja wola była już mocno nadwyrężona.

W pewnym momencie kobieta roznosząca piwo otarła się swoim, pięknym skądinąd, biustem o moje ramię. Odsunąłem się. Czułem całym moim jestestwem, że to nie jest oznaka przychylności młodej kobiety do mężczyzny, jakim się stawałem. To była moc grosza, którym szastał mój kuzyn.

– Przeplaciłeś ją – powiedziałem z wyrzutem.

– Testis unus, testis nullus, jeden świadek, brak świadka. Użyjaj życia – zaśmiał się inkwizytor.

Gdy znalazłem się w mojej izbie, położyłem się. Byłem czerwony na twarzy od nadmiaru wypitego piwa. Nagle drzwi otworzyły się. Zobaczyłem kobietę, która, w chwilę później, wsunęła się cicho do mojego łóżka. Pocałowałem ją, lecz mimo całej żądzy, którą odczuwałem, powiedziałem jej, by odeszła.

– Ale powiesz jego wielbności, że się ze mną kochałeś, bo zostałam oplotona – szepnęła.

– Idź – odepchnąłem kobietę delikatnie. Potem, targany sprzecznymi uczuciami, obserwowałem, jak odchodzi. Odpłynąłem w sen.

Obudziłem się z bólem głowy. Na łóżku poczułem wilgoć. To było nasienie. Czyżby?

Obok mnie na zydelku siedziała ta sama młoda kobieta. Była półnaga. Przy oknie parowała woda przygotowana do kąpieli.

– Zrobiłam to, gdy spałeś – stwierdziła i dodała – Teraz weź kąpiel.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu przypominałem sobie, jak jestem szkaradny. Moje ciało było zdeformowane. Czyżbym zdradził Tomirę, nie wiedząc o tym? A teraz jeszcze miałbym się obnażyć przed tą młodą kobietą?

Zacząłem się rozbierać, pozbawiony intencji co do dalszego biegu wydarzeń. Gdy już byłem półnagi, kobieta zaczęła płakać i uciekała. Poczułem się winny. Nie tylko z powodu mojej postury. Zapomniałem przecież o damie w zieleni. Czy Tomira pokocha mnie pomimo mojej zdrady?

Jechaliśmy przez lasy. Nachodziły mnie wspomnienia. Niczym chmury zasłaniające niezbadane niebo mojej miłości. Bo czułem, że kocham. Nagle naszła mnie myśl, że bluźnię. Że, niczym Jan Hus, jestem heretykiem i to w najbardziej fundamentalnym znaczeniu tego słowa. Przecież zawsze mówiono mi, że możemy poczuwać się jedynie do bycia w miłości Bożej. Natomiast ja czułem, że kocham inaczej, bo od siebie. Naturalnie. Może to Bóg używał mi swojej mocy, bym czuł tę miłość. A może prościej – byłem obłąkany. Tak, musiałem być obłąkany. Nie chciałem przyznać, że człowiek jest zaledwie prochem, który w proch się obróci. Chciałem kochać na miarę boską. To było wielkie bluźnierstwo. Poczułem strach.

– Dlaczego uśmiechasz się tak błogo? Zrobiła ci dobrze, to i się uśmiechasz – inkwizytor aż bulgotał z radości.

– Nie, myślę o miłości – wyszeptałem ze skrucą.

– To sprawa boska, do której nam, ludziom, mieszać się nie wolno.

– A nasze sumienie? – spytałem.

– Jesteś majętny. Wykupisz swe grzechy i możesz czuć się zbawionym.

– Czy czas istnieje? – spytałem, wiedząc, że kuzyn studiował na świetnym Uniwersytecie Praskim.

– Czas zaczął się wraz z powstaniem świata i skończy wraz z Apokalipsą – wyrecytował nieco znużony inkwizytor.

– Poza tym, według świętego Augustyna, tylko następowanie po sobie zdarzeń powoduje, że czas istnieje. Ruch jest powodem tego, że możemy mówić o zjawisku czasu – inkwizytor mówił i jego policzki poczerwieniały tak, jakby wstąpił w niego ten inny, dobry kuzyn, którego do tej pory nie znałem. Po czym dodał z pasją:

– Wiedz, że człowiek jest bytem przygodnym.

– Co to oznacza? – spytałem.

– Przejawy rozumności, jakie można wywieść, na przykład z tej dyskusji, dowodzą, że veritas est adequatio intellectus et rei, że rzecz, a dokładniej, byt jest równoważny intelektowi. To verum, prawda, dzięki której można dowiedzieć, że rozum jest wszystkim, co się liczy, bowiem potrafi odzwierciedlić stan rzeczy. Rozum to jedyna prawda dana człowiekowi w jego chwili

lowym trwaniu. Zaś człowiek może istnieć lub nie. Tylko Bóg jest bytem koniecznym.

Zadałem sobie pytanie, czy uмиłowanie ognia i stosów nie było niejako konsekwencją prezentowanych mi właśnie poglądów inkwizytora. Czy istnienie przypadkowe jest wystarczająco uświęcone?

Zapadłem w drzemkę. Gdy otworzyłem oczy, zobaczyłem inkwizytora. Broczył krwią. Wokół słychać było krzyki walki. Po dłuższej chwili odważyłem się wyrzeć przez okno kolebki. Martwi gwardziści leżeli na drodze. Kilku zbójów zdzierają z nich hełmy. Spojrzałem w oczy inkwizytorowi i zobaczyłem w nich przebiegłość. Herszt otworzył drzwiczki. Kuzyn rzekł hardo:

– Dostaniecie za mnie solidny okup. Tak więc niech mi włos z głowy nie spadnie.

– A ten drugi, to wilkołak? – zaśmiał się herszt bandy, nie oczekując odpowiedzi.

Wkrótce zajechaliśmy do kryjówki. W drzwiach na zydelku siedziała stara kobieta. Zaśmiała się:

– Dwa potwory – skrzekliwie rzędziła.

– A wy kim jesteście? Na pewno nie aniołami dobroci! – stwierdziłem poirytowany.

– Jesteśmy drapieżnikami, które żywią się taką padliną, jak wy – powiedziała starucha. Zbójce zaśmiali się donośnie.

Włoczono nas do izby. Na podłodze leżała skóra potężnego niedźwiedzia.

– Długo walczył? – spytałem herszta.

Nagle zbój spowaźniał i rzekł:

– Zabił dwóch moich kompanów. Dlatego, za każdym razem, gdy chodzę po nim, to mszczę się.

Pomyślałem, że natura, według Pisma Świętego, została подарowana człowiekowi, by nią władał. Czy człowiek naprawdę zasługuje na to, by władać?

Siedzieliśmy w przestronnej izbie. Inkwizytor odezwał się pogodnym głosem:

– Zapamiętałem drogę do tej kryjówki. Gdy będziemy na wolności, okrutnie ukarzę tych ludzi. A staruchę oskarżę o uprawianie czarów.

Dużo słyshałem o torturach. Oczami wyobraźni widziałem już herszta łamanego kołem, kiedy nagle drzwi otworzyły się z hukiem:

– Widzisz, robaczku, jesteś nieostrożny w swojej mowie! – herszt aż kipiał ze złości.

– Któż spamiętałby drogi do tej kryjówki? – tym razem inkwizytor wystraszył się.

– Babcia ma zbyt dobry słuch, a mnie na złocie aż tak nie zależy – herszt wyciągnął topór.

Inkwizytor zaczął krzyczeć, kiedy zbój zamachnął toporem. Głowa mojego kuzyna spadła na podłogę. Krzyk urwał się, a czerep potoczył po posadzce. Ukłęknałem, by odejść z honorem.

Nagle wbiegła do izby starucha.

– Tego oszczędź – powiedziała i zaintonowała pieśń, która brzmi do dziś w moich wspomnieniach.

Topór zawisł w powietrzu.

– Idź, może ci wilcy zjedzą – herszt tyknął na mnie swoimi przekrwionymi oczami.

Bardzo długo błąkałem się po puszczy. Świetliki wskazywały

mi drogę. Nawet wycie wilków stało się odleglejsze. Zabyło jedno wyraźniejsze światło. W oddali zobaczyłem domostwo. Przybliżyłem się i zapukałem. Drzwi otworzył przyjaźnie uśmiechnięty anachoreta.

Na wielkim stole zauważyłem dwa kubki, zaś na ogniu gotowała się woda.

– Rozgość się – usłyszałem.

– Kto jeszcze ma przyjść? – spytałem.

– Czekałem tylko na ciebie – odparł mężczyzna ubrany w biały habit.

Usiadłem zdumiony. Tymczasem mnich zalał wrzątkiem kubek z ziołami. W powietrzu unosił się błogi zapach, a straszne wspomnienia wyparowały niczym kamfora. Napilem się i uspokoiłem.

– To biedrzan, czyli waleriana. Na pewno ci pomoże. Ale tak naprawdę, jak mawiał święty Augustyn, tylko w duszy swej możesz znaleźć ukojenie. A w duszy swej, jak widzę, cierpisz. Poczułem senność, lecz przemołem się i spojrzałem jeszcze raz na mnicha, który rzekł:

– Jesteś tym gościem, na którego długo czekałem.

Po czym wyjął pergamin. Zobaczyłem postać ludzko podobną do mnie. Tak! Nie miałem wątpliwości. Zdeformowanym młodym człowiekiem przedstawionym na rycinie byłem ja. Nad moim wizerunkiem widniał napis: „Vanitas vanitatum – omnia vanitas. Quis ut Deus?”.

– Widzisz, wszystko jest marnościami. Wiedz, że twoje ciało jest śmiertelne, ale nie dusza.

Chciałem oponować. Pomimo tego, że byłem zmęczony, powiedziałem:

– Ciało, nawet to ułomne, jest świętynią.

Mnich spojrzał na mnie przenikliwie:

– Gdyby powiedział to jakiś piękny fizycznie człowiek, może bym zrozumiał, choć nie zaakceptował. Ale przecież widzisz, jak jesteś ułomny, więc, tym bardziej, nie rozumiem. Choć ciało jest naczyniem, w którym mieszka dusza, to pozostaje tylko naczyniem.

"VIR DEFORMIS" - RECENZJA

Profesor Tomasz Bocheński

Vir Deformis Marka Łukaszewicza to zajmująca opowieść o człowieku ułomnym, brzydkim, niekochanym; opowieść o średniowiecznym szewcu, któremu Bóg obiecał poznanie duchowego świata. Żeby przebóstwić swoje marne istnienie, musi szewc sprawdzić wartość ludzkich mądrości. Kogóż nie spotyka na swej drodze? Wiedźmy, kochanki, inkwizytora, zakonnika, rycerza, diabła...? Musi ich wszystkich spotkać, musi sprawdzić na sobie ich mądrości, by pojąć samego siebie, a właściwie, by spróbować siebie samego pokochać. *Vir deformis* to alegoryczna baśń o poznaniu, w której wizja, sen i jawa służą mają egzystencjalnej wiedzy. Przewrotny koniec historii szewca, każe czytelnikowi wrócić do początku opowieści i ponownie rozważać, co przynosi kalekiemu istnieniu miłość, a co - mądrość.

Poczwar(k)a, czyli kilka słów o kategorii brzydoty w tekście „Vir Deformis”

Justyna Czupełka, Katarzyna Burska

W utworach Marka Łukaszczyka (m.in. w opowiadaniach zgromadzonych w zbiorze pt. „Terius” i w „Baśniach z ziaren kwarcu”) wielokrotnie powracają tematy ułomności, walki z własnymi atawizmami oraz wadami, jak również wykluczenia jednostki ludzkiej, która nie przystaje do otaczającego ją świata. Podobne zagadnienia pojawiają się w tekście „Vir Deformis”, jednak w przypadku tej krótkiej formy prozatorskiej (przypominającej nieco powiastkę filozoficzną) można pokusić się o stwierdzenie, że moralna i fizyczna brzydota okazuje się zasadą świata przedstawionego. Prawie wszystkie elementy współtworzące wykreowaną rzeczywistość posiadają jakieś defekty (zarówno jeśli chodzi o zaniedbaną i budzącą obrzydzenie przestrzeń miejską, jak i postaci, wśród których należy wymienić głównego bohatera – Teodora, okrutnego i „kochającego stosy” inkwizytora oraz demoniczną kobietę – czarownicę, którą „Vir” spotyka w lesie). Autor poprzez bezpośrednie rozważania, jak również liczne symbole i metafory nawiązuje do różnych koncepcji piękna i brzydoty, które znalazły odzwierciedlenie w literaturze i sztuce, także XX-wiecznej m.in. w twórczości Tuwima, Białoszewskiego i Grochowiaka. Ze względu na to, że akcja utworu „Vir Deformis” rozgrywa się w XV w., warto przede wszystkim przypatrzeć się ówczesnym lub też wcześniejszym przemyśleniom na temat wyżej wspomnianych kategorii. Odczytywanie tekstu wedle owego klucza interpretacyjnego jest jedną z wielu możliwości, jednak, ze względu na wszechobecność motywu brzydoty, zasadne wydaje się wykorzystanie tego sposobu.

Umberto Eco w monografii „Historia brzydoty” przywołuje pojęcie kalokagatii. Piękno i dobro to kategorie, które współwystępowały w rozważaniach starożytnych myślicieli m.in. Platona, jak również były łączone przez wielu późniejszych filozofów (także średniowiecznych) i teoretyków sztuki. Równocześnie w kontekście tego zespolenia kategorii pojawiła się antynomia. Brzydota i zło moralne również były utożsamiane m.in. przez autora pracy powstałej z 1852 r. pt. „Estetyka brzydoty” – Karla Rosenkranza. Przykładem kreacji postaci wedle owego wzorca jest inkwizytor, którego szpetota ujawnia się, gdy ten otwiera usta, by coś powiedzieć lub się uśmiechnąć. Główny bohater dostrzega wówczas jego poźółtkie zęby, zaś mina wyrażająca zadowolenie inkwizytora postrzegana jest jako nieprzyjemny grymas. Znaczące wydaje się to, że brzydota w tym przypadku skorelowana jest ze stanem psychicznym bohatera, jego uczuciami, poglądami i fanatyzmem. Szpetota fizyczna (powiązana z moralną) staje się widoczna w momencie, gdy postać daje wyraz swojemu zamiłowaniu do okrucieństwa (np. gdy opowiada o tym, że lubi obserwować płonące stosy i umierających na nich ludzi).

Zupełnie inny sposób myślenia o brzydocie dostrzec można, analizując postać Teodora, który określa się mianem „Vir Deformis”. Deformacja bohatera może być związana z jego nieukształtowaniem i brakiem spójnej tożsamości.

W biblijnej Księdze Mądrości pojawia się stwierdzenie, że Bóg stworzył elementy rzeczywistości wedle odpowiednich: miary, liczby i wagi. Teodor rozmyśla nad tym, czy Pan naznaczył go lub też przeklął, dając mu ułomną – nieproporcjonalną cielesność. Bohater myśli o sobie jako o istocie „niedokończonej”. Równocześnie jego nieproporcjonalność świadczy o jednostkowości oraz wyjątkowości. Te cechy sprawiają, że zakochuje się w nim Tomira. Kobieta podarowuje mu nowe ubranie, które okazuje się idealnie dopasowane („szyte na miarę”). Scena ta jest symboliczna i oznacza m.in., że uczucie sprawia, iż kobieta intuicyjnie rozpoznaje cechy przyszłego kochanka. Ponadto nieproporcjonalność „Vira” zostaje zaakceptowana i kanony, które mogłyby go ograniczać, w tym momencie nie dotyczą Teodora. W kontekście sytuacji bohatera istotne okazuje się także to, że nie zajmuje on właściwego sobie miejsca w świecie. Teodora wychowuje szewc, jednak po pewnym czasie okazuje się, że ojcem tytułowej postaci jest wielmoża. Deformacja bohatera świadczy zatem również o tym, że miejsce, jakie zajmował przez pewien czas w społeczeństwie „nie było na jego miarę”. „Vir” jest niczym drzewo, które, przesadzone w niewłaściwe miejsce, przybiera skarłowaciałą – zdeformowaną postać. Jednak bohater nie obumiera, ponieważ poszukuje swojej tożsamości i dowiaduje się niektórych faktów związanych z jego pochodzeniem.

Świat przedstawiony w utworze także naznaczony jest brzydotą. Żebracy na ulicach, zbójcy i miasto, które niejednokrotnie budzi wstręt oraz niepokój czytelnika, to elementy niedoskonałe. Marek Łukaszczyk pokazuje, że brzydota jest czymś przynależnym człowiekowi, stale obecnym w jego życiu. Taką perspektywę myślenia o rzeczywistości przyjmują także XX-wieczni pisarze tacy jak Tuwim czy Grochowiak. Myśl o brzydocie jako kategorii bliskiej człowiekowi pojawia się także w rozważaniach św. Augustyna (choć wiadomo, że u podstaw tej teorii w przypadku średniowiecznego myśliciela i wyżej wymienionych autorów leżą zupełnie inne założenia i idee). Św. Augustyn podkreśla dualizm duszy i ciała, jak również pisze o Państwie Bożym i państwie doczesnym, które walczą ze sobą, lecz Civitas Dei ostatecznie zatriumfuje. Rzeczywistość wykreowana w utworze „Vir Deformis” przepełniona jest grzechami i na bohaterów czeka wiele pokus, z którymi muszą walczyć. Świat przedstawiony przez Marka Łukaszczyka przypomina państwo ludzkie (civitas terrena).

Jedyną postacią, o której główny bohater wielokrotnie mówi jako o pięknej (a nie tylko wzbudzającej pożądanie) jest Tomira. Można stwierdzić, że miłość i dobro wybranki Teodora uwzniośli ją i sprawia, że kobieta, pomimo swoich grzechów, nie traci urody. Marek Łukaszczyk w swoim tekście pokazuje, że pozytywne uczucia są oznaką piękna duchowego.

KILKA UWAG NA MARGINESIE LEKTURY „VIR DEFORMIS, CZYLI CZŁOWIEK UŁOMNY” MARKA ŁUKASZEWICZA

Profesor Marek Gensler

Jak wiarygodnie prowadzić pierwszoosobową narrację w tekście opowiadającym historię z epoki dawno minionej? Jakież problem? – ktoś mógłby zapytać – przecież ludzie od tamtych czasów zauważalnie się niemal nie zmienili: ani wyglądem czy fizjologią (choć częściej niż obecnie mogli być naznaczeni śladami łatwo obecnie wyleczalnych lub zgoła wyeliminowanych chorób), ani psychicznie; wszak zachowane z tamtych czasów teksty pokazują ludzi obdarzonych emocjami i rozumem nie odbiegającymi od tych, które możemy znaleźć u ludzi nam współczesnych. A jednak problem jest duży, mimo wspomnianych podobieństw, i jest on podobny do tego, jaki napotykamy próbując pisać o przedstawicielach kultur dla nas egzotycznych: oddalenie czasowe tworzy dystans (i obcość) tak samo jak oddalenie przestrzenne. Musimy wkroczyć w odmienny paradygmat kulturowy i strukturalistyczne przygotowanie tylko trochę może nam tu pomóc odczytać obce kody kulturowe, znaki, oraz mentalność, jaką funkcjonowanie w ich ramach wytwarza. Wiarygodność autorowi nadaje głębokie i pełne zrozumienia wejście w szczegóły funkcjonowania środowiska, w którym umieszcza swego bohatera – narratora. Tu jednak czyha kolejne niebezpieczeństwo, często grożące próbującym swych sił w literaturze specjalistom w dziedzinie danej kultury: erudycyjne nagromadzenie elementów powodujących niezrozumiałość tekstu dla czytelnika, dla którego jest to pierwsze z nią spotkanie, uniemożliwiająca utożsamienie się, czy choćby bliższy emocjonalny kontakt z bohaterem – narratorem, będące przecież jednym z głównych czynników sukcesu dzieła literackiego, przez *mimesis* prowadzącego, jak poucza Arystoteles, ku jakiemuś *katharsis*.

Marek Łukaszewicz w swoim opowiadaniu „*Vir deformis*, czyli człowiek ułomny” próbuje się zmierzyć z tym wyzwaniem przedstawiając czytelnikowi opowieść żyjącego w Czechach początku XV wieku bohatera – narratora. Wybrana przez niego metoda narracyjna – sekwencja obrazów będących jakby wspomnieniami kluczowych momentów życia, pozwala mu z jednej strony zaznajomić czytelnika z postacią, a z drugiej – nakreślić dość szeroką panoramę czasów i miejsc, w których ją umieścił. W ten sposób od niechcenia, jakby podsłuchując wyznania naszego bohatera – narratora, wchodzimy w jego psychikę. Ten moment jest najtrudniejszy: jak kwestie, które są oczywiste, a więc nie wymagające komentarza czy refleksji dla niego, ale obce i nieczytelne dla nas przedstawić w sposób, który nie będzie raził podręcznikowym tłumaczeniem, a jednocześnie pozwoli zorientować się nam, o co chodzi. Trzeba tu dobrze wyczuć i precyzyjnie odmierzyć, ile in-

formacji czytelnik jest w stanie przyswoić mimochodem nie odbierając ich jako wykładu. Marek Łukaszewicz dokonuje wyboru, który wydaje mi się trafny: „wrzucając” czytelnika w psychikę bohatera – narratora nie przesadza z pomocą w zrozumieniu jej „egzotycznych” elementów. Ta nienatrzętna pomoc sprowadza się *grosso modo* do dwóch zabiegów: braku stylizacji historycznej języka, którą w jakiejś mierze zastępują łacińskie i niemieckie (także niestylizowane historycznie) wtręty, oraz wprowadzenia między fragmentami odtwarzającymi wspomnienia bohatera – narratora fragmentów refleksyjnych, w których informacja dotycząca kontekstu kulturowego i historycznego wydaje się bardziej naturalna. Końcowy efekt jest nieco migotliwy, niemal oniryczny, na kształt ostatniego spojrzenia na życie, które – jak chce tradycja – jest przedśmiertnym doświadczeniem wielu ludzi.

Jako człowiek profesjonalnie zajmujący się epoką, w której autor umieścił swoje opowiadanie, przystępowałem do lektury z pewną obawą: czy kostium historyczny tekstu nie będzie dla mnie raziący anachronizmem zarówno w tym, co zamierzone (stylizacja), jak i w tym mogłoby być błędem spowodowanym niewystarczającym przygotowaniem historycznym autora. Obawy te szczęśliwie okazały się płonne. Opowiadanie wciąga i uwodzi swoim nieco mrocznym, nieco migotliwym nastrojem, a bohater – narrator, choć tajemniczy, staje się jakoś bliski. Sztafaż historyczny jest dyskretny, co pozwala uwadze skupić się na przeżyciach bohatera i z bliska towarzyszyć mu w jego rozterkach i niedolach. Jestem w nim w stanie zobaczyć żywego człowieka, współczucie z którym przynosi mi duchowe oczyszczenie. Recepta Arystotelesa odpowiednio zastosowana jest skuteczna.

NIEDOSŁOWNOŚĆ W „HALABARDZIE”

Justyna Czupełka, Katarzyna Burska
we współpracy z Markiem Łukaszewiczem

Komiks „Halabarda” określić można mianem kolażu symboli charakterystycznych dla różnych okresów (takich jak starożytność, średniowiecze oraz współczesność) i metafor, które przenikają się, tworząc historię o procesualnym doskonaleniu się jednostki ludzkiej. Główny bohater o imieniu Herbert (oznaczającym „błyszczący”, „jaśniejący”) niespodziewanie przenosi się do Wieków Średnich i trafia na halabardzistów. Strażnicy posądzają mężczyznę o to, że kontaktuje się z nieczystymi siłami. Dzięki pomocy ukochanej Luny (imię to stanowi nawiązanie do rzymskiej bogini Księżycy, a także charakteryzujących się niezwykłą kobiecą mocą bóstw lunarnych – Artemidy czy Hekate) bohater ostatecznie powraca do współczesności

i uzyskuje spójną tożsamość. Po wytworzeniu się głębszej relacji z kobietą, Herbert odczuwa duchową harmonię.

W komiksie wykorzystane zostały m.in. dwie metafory (pojawiające się w twórczości rozmaitych pisarzy m.in. R. Jaworskiego i W. Gombrowicza) – rozczłonkowanie ciała jako psychiczna degradacja, entropia albo kryzys tożsamości podmiotu, jak również scalenie ciała jako zyskanie wewnętrznej spójności. Bohater przebrany za mumię, a więc symbolicznie martwy (oraz statyczny – wszak o trupie mówimy, że jest „drętwy” i „zimny”), po oblaniu pomyjami (poniżeniu – utracie godności) i ataku halabardzistów dosłownie rozpada się. Sytuacje w świecie zewnętrznym mogą sprawić, że człowiek nie tylko „czuje się rozbity”, ale też zaczyna rozmyślać nad tym, kim jest, jaki ma status oraz rolę w ramach społeczności czy poszczególnych grup, do których przynależy lub z jakimi się styka. Wtedy czasami następuje przemiana i niektórzy scalają się na powrót, a używając potocznej metafory – „zbierają się (do kupy)”. Tak dzieje się również z głównym bohaterem komiksu.

Herbert, początkowo pozornie martwy, wydaje się „zahibernowany” i dopiero kontakt ze strażnikami uświadamia mu brak wewnętrznej integralności, którego pochodną może być dość powierzchowna relacja z dziewczyną (Herbert zrazu rozmawia ze swoją partnerką przez telefon, czyli niebezpośrednio). Męczyzna scala się jednak i Luna, wysyłając świnię, przynosi go do domu. Kobieta odwija też bandaż zakrywający ciało bohatera. Istotny wydaje się kilkietapowy proces przemiany Herberta, którego zwieńczeniem ma być całkowite obnażenie – „stanięcie w prawdzie”. Bohater może spojrzeć bardziej obiektywnie na własną ewolucję dopiero po chwili. W czasie metamorfozy nie jest to możliwe, ponieważ wówczas kierują nim emocje. Zachodzące zmiany wyraźniej dostrzegamy i interpretujemy z pewnego dystansu czasowego – gdy mamy do nich mniej emocjonalny stosunek.

Istotnym i wieloznacznym symbolem pojawiającym się z komiksem jest świnią. W. Kopaliński zaznacza, że zwierzę to powiązane jest z bóstwem lunarnym – Hekate. O złożoności symbolu świni i niemożności połączenia jej z jedną cechą świadczy m.in. fakt, że w literaturze polskiej stosunkowo rzadko występuje ona jako alegoria (I. Krasicki napisał tylko jedną znaną bajkę, w jakiej pojawia się maciora, która w kontekście utworu oznacza płodność). Zwierzę to symbolizuje żarłoczość, zmysłowość i rozwiązłość, ale i oczyszczenie, a także odrodzenie. Świnią w komiksie jest wysłanniczką Luny, co może oznaczać, że bohaterka ulega swoim atawizmom. Po uratowaniu Herberta przez maciorę, Luna zdejmuje maskę zwierzęcia. Symbolicznie pokonuje swoje ułomności, jak również pozbywa się egoizmu. Luna decyduje się pomóc mężczyźnie. Dzięki temu staje się bardziej ludzka. Gdy zdejmuje maskę, stwierdza, że ma już dość karnawału. Może to oznaczać, iż związek, w którym partnerzy na pierwszym planie stawiają swoje potrzeby i kaprysy, jest czymś przejściowym – zabawą, grą, która nie może trwać długo. Co ciekawe, przemiana Luny w człowieka bardziej świadomego i kontrolującego się również jest stopniowym procesem. Interesujące jest również to, że komiks „Halabarda” jest niejednorodny pod względem formalnym, co ma znaczenie

w kontekście niedosłownych treści. Większość kadrów rysowana jest z użyciem jednolitego, wyrazistego konturu, ale sytuacja ta zmienia się na kilka stron. Część ta ma charakter bardziej szkicowy, z wykorzystaniem cieńszych, subtelniejszych linii. Zabieg ten został zastosowany w partiach opowieści, które dotyczą podróży Herberta przez fantastyczną krainę o charakterze snu czy wizji, konstruowaną w parciu o wyobraźnię bohatera. Zatracona na kilka kadrów „solidność” konturu podkreśla odrealnienie w onirycznej wizji i wprowadza odmienny nastrój. Szczegółem, na który można zwrócić uwagę, jest stopniowanie „realności” poprzez formy konturu w kadrze przedstawiającym śpiącego Herberta. Księżyc wydaje się być barwną plamą, ciemne chmury mają kontur biały (ukazane są jakby w negatywie), zaś siedząca postać – czarna, jednolity obrys, choć nadal subtelniejszy, niż w kadrach następnych. Na oczach czytelnika Herbert stopniowo przekracza granicę poprzedniego stanu świadomości i wraca na jawę. Warto też wspomnieć o sposobach umieszczania tekstu w komiksie. Onomatopeje oraz znaki zapytania to część obrazu jako rysunek, podczas, gdy wypowiedzi w dymkach i narracja wyrażone są fontem. Sugeruje to dwa poziomy komunikacji – przekaz o funkcji czysto ekspresyjnej i dotyczący stanów psychiczno-emocjonalnych bohatera oraz świadome, intencjonalne operowanie słowem.

Oprócz wyżej wymienionych znaków o znaczeniach niedosłownych, w komiksie pojawiają się liczne nawiązania do rozmaitych kultur i grup posługujących się symbolicznym językiem np. czapka-piramida to odwołanie do starożytnego Egiptu, zaś oko opatrności odnosi nie tylko do tradycji wolnomularstwa, ale i do alchemii, którą interesuje się Marek Łukaszewicz. Warto również zwrócić uwagę na samą halabardę, czyli broń, którą główny bohater zostaje symbolicznie przepołowiony. Ów przedmiot również posiada dodatkowe znaczenie, jednak w tym przypadku istotne jest także samo słowo będące równocześnie tytułem komiksu. Marek Łukaszewicz zwraca uwagę na to, że wyraz „Hala” może być zdrobnieniem od imienia „Halina”. Pochodzi ono od greckich słów oznaczających „błogostan” i „spokój”. Imieniem, które w pojedynczych przypadkach również może występować jako pełna wersja deminutywu „Hala” jest także „Helena”, czyli (również z greckiego) „jasna” i „światlista”. Wspomniane miano pochodzi od słowa oznaczającego „blask Księżyca”. Pierwszy człon wyrazu „Halabarda” w kontekście treści komiksu odnosi się zatem do atrybutów i cech Luny. Drugi element – „bard-a” (celowo zapisany z oddzieleniem końcówki fleksyjnej) dotyczy samej historii, a także głównego bohatera, który jest narratorem i można go porównać do średniowiecznego barda, przekazującego opowieść o niezwykle fantastycznych przygodach.

Powyższy tekst jest jedynie próbą interpretacji komiksu „Halabarda” i zawiera pewne ogólne wskazówki dotyczące możliwości odczytywania symboli, alegorii i metafor zawartych w utworze. Warto przypatrzeć się poszczególnym klatkom, bo każda z nich skrywa wiele drobnych, a zarazem znaczących elementów. Zachęcamy czytelników do dalszych poszukiwań i wędrówek po lesie fikcji Marka Łukaszewicza.

Komiks "Halabarda"

Marek Łukaszewicz

1

HALABARDA Marek Łukaszewicz



Właśnie wracałem z karnawałowej imprezy



Gdy nagle...

Dlaczego akurat mnie przydarzyła się taka dziwna historia? Nie wiem!

2



Wracałem spokojnie do domu, gdy zaczepili mnie dwaj przebierańcy.

3



Uczeń
diabła



Gdy rozmawiałem z Luną, jeden z mężczyzn wytrącił mi z furii telefon

4



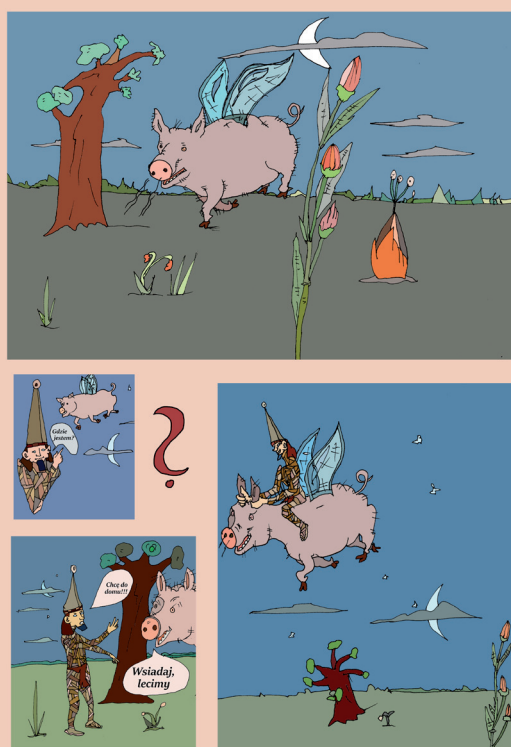
Ludzie ci byli przerażeni, a i ja poczułem chłód w plecach

5



Halabardnik przeciął mnie na pół. Spanikowałem i wszystko się rozplynęło

6



Znalazłem się w jakiejś dziwnej scenerii. Byłem zagubiony, jak nigdy w życiu

7



Znów w domu, który zawsze był dla mnie najszcześniejszym miejscem

8



Dla mnie to koniec tej historii, lecz początek przemyśleń

Kołysanka "Pan Dudek"

Marek Łukaszewicz,
współpraca - Dominika Dudek, Michał Hajduk



Ilustracja "Księżycowe kołysanki Pana Dudka" - Jacek Frąś

Pan Dudek



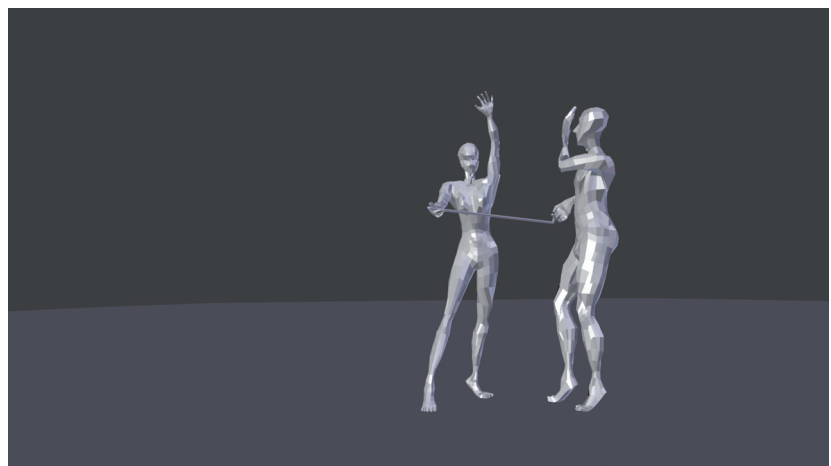
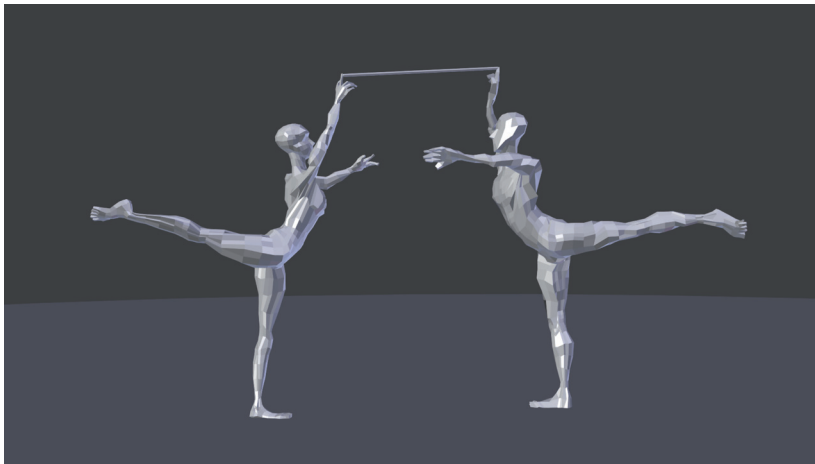
"Skąd się wzięła trawa na Ziemi"

reżyseria i animacja: Barbara Koniecka
według pomysłu Marka Łukaszewicza



"Balet z różdżką"

reżyseria i animacja: Barbara Koniecka (choreografia: Klaudia Bisikirska, Mariola Dubiel i Marek Łukaszewicz)

**WIERSE****Marek Łukaszewicz****WYZWOLENIE**

Dojść do perfekcji i cóż?

Czy dalej wyczekuje nas opasta rutyna?

Droga jest ważniejsza od
punktu przeznaczenia, bowiem wymaga od nas żywotności.Kto nie chciałby wyzwolić się spod władzy panoszącego
się przypadku,
często myłonego z przeznaczeniem**CISZA**Zraniłem ciszę
swym głosem,
zraniłem wzburzonym oddechem
i nutą nie tą.Zraniłem kosmos,
w którym bytujemy
oraz odwieczną harmonię sfer
poraniłem.Wraca do mnie echo
i trudno mi uwierzyć,
jak dźwięk może zakłócić
porządek rzeczy.Teraz jestem zawstydzony
pokrzywionym odbiciem w lustrze świata

BANAŁ

Banał opiewam powagą słowa,
marny szkielet przyozdabiam
wielobarwnym opierzeniem
i nazywam go wierszem;

czasem na odwrót, palący ból
obnaża nieporadność...

niczym zwierzenie

FATAMORGANA

Pałace, strzeliste wieże,
poranki pełne nadziei;

czegoż nie wybudowałem
w wyobraźni mej.

O zmierzchu
fatamorgana
jest już mniej wyrazista

WIELOWYMIAROWOŚĆ

Najgłębsze jezioro świata to nie Bajkał.

Nieprawdą też jest, jakoby Ziemia obracała się wokół Słońca.

Tak naprawdę żyjemy w wielowymiarowości,
a oczywistość istnieje tylko po to,
byśmy czuli się mniej zagubieni

STRUKTURA I CHAOS

Patrzę na koślawość w twórczości mej.

Panuje w niej siłacy się na uporządkowanie nieład.

Żadne to panowanie,
bo nieład jest materializacją chaosu,
który nie znosi nadzorców.

Chciałbym podjąć wyzwanie i
być zarazem strukturą i chaosem

SŁOWO

Czy idąc wolno, cierniście,
komuś się przypodobaś?

Czy mówiąc prawdę ukrytą
stracisz grunt pod nogami?

Trzęsie się ziemia, gdy wulkan
zmiata zgielek z horyzontu.

A może kochać nas trzeba
nawet w chwili odwagi?

Zbyt długo idziesz, by błądzić...
zbyt długo,
zbyt długo

ESEJ

Marek Łukaszewicz

Potrzebujemy mozolnej nauki, by dostrzegać świadome życie jako skarb bezcenny, skarb ponad innymi wartościami. Kiedy naprawdę jesteśmy sobą? Człowiek autentyczny wydaje się być szczęśliwszy. Jednak często padamy ofiarami mniemań. Przykładowo, manipulując bliźnimi stajemy się pozornie mądrzejsi, lecz oddalamy się od naszej lepszej i głębszej części natury. Posiadanie też nie jest wykładnikiem szczęścia, a głębiej odczuwalnym dobrem jest nasza relacja z bliźnimi. Każdy człowiek posiada, jako indywiduum, dość odrębny system wartości. Weryfikujemy go w kontakcie ze światem, zarówno wewnętrznym, jak i zewnętrznym. Sposoby postrzegania są tak zadziwiająco odmienne, że można pokusić się o stwierdzenie, iż nie ma jednej rzeczywistości. Kreujemy świat także naszą

percepcją. Jak to jest możliwe? Za naszym osądem, który jest pochodną postrzegania rzeczywistości, idzie nasze działanie. Wpływamy na realność, która z kolei nas kształtuje. Na ile możemy się uczłowieczyć, w sensie empatii, w zmaganiach z rzeczywistością? Musimy wydobyć się z wielu egocentrycznych nawyków, by dostrzec drugiego człowieka. Dostrzegając bliźniego, dostrzeżemy i siebie. Co to oznacza? Dopiero widziany z bliska człowiek staje się autentycznym człowiekiem. Gdy przyjrzymy się naszym uczuciom, to dostrzeżemy, że tak naprawdę wszyscy się nimi żywimy. Więcej, jak i one, jesteśmy żywą energią. Oczywistością jest, że potrzebujemy materialności. Gdy zaspokoimy swoje potrzeby, łakniemy duchowości. Dostarcza nam jej nasza natura, która jest połączona z całym światem. Jesteśmy wzajemnie uzależnieni od siebie, co generuje przepływ energii. Powinniśmy pielęgnować niematerialność, klucz do poznania i szczęścia. Sądzę, że mało kto potrafi żyć bez pozytywnych uczuć. Lubimy ich doświadczać, lubimy też być doceniani. To wszystko są dobra niematerialne. Energia,

jaką w moim odczuciu jest świadomość posiada własną strukturę, która podlega przemianom.

Często słyszy się o talencie. Jesteśmy zlaknieni talentu, lecz jego nadmiar może spowodować zbytnią łatwość w zdobywaniu umiejętności. Myślę, że w zmaganiach z rzeczywistością możemy rozbudowywać talent. Dzięki wysiłkowi możemy go wręcz tworzyć, a nie tylko eksploatować i szlifować. Sądzę, że wszelka umiejętność jest przede wszystkim stanem świadomości, zaś zasób wiedzy konkretnej jest jej podporządkowany. Dzięki rozbudowywanej świadomości można szybciej nabywać wiedzę. Rozwijając świadomość może idziemy okrężną drogą, lecz jakże dziewiczą. Słyszałem opinię, że posiadany talent może być przeszkodą w rozwoju, zaś zdeterminowana, zazwyczaj pozorna tępota może okazać się skuteczniejsza. Szczególnie, gdy mamy przed sobą długą drogę. Bowiem zmagania z trudnościami budują charakter, a poprzez naszą walkę z nimi wzmacniamy nasz potencjał. Stawiamy akcent na potencjał, z którego wypływa wszelkie działanie.

Dobrze jest założyć, że z natury swej jesteśmy nieskończeni, wręcz duchowo nieśmiertelni. Nie oznacza to, że fizyczna śmierć nie istnieje. Założenie wieczności daje spokój i przeświadczenie, że nigdzie nie musimy się spieszyć. Nasza natura, gdy jest pobudzona praktyką i determinacją, wpływa na nas i stwarza podwaliny rozwoju. Gdy pobudzimy się do wewnętrznej przemiany, wówczas sami będziemy rzeźbić swoje wnętrze. Nieważne, czy będziemy zewnętrznie piękni. Ważniejszym jest fakt, by energia, jaką jesteśmy, uszlachetniała się i sublimowała. W tym widzę, nie tylko własną, receptę na życie.



Obraz Marka Łukaszewicza

PODZIĘKOWANIA

Bez pomocy wielu wspaniałych ludzi twórczość, którą się zajmuję, byłaby uboższa. Nie żyjemy w odosobnieniu, a przychylność i kompetencje bliźnich są fundamentem, nad którym dopiero można zbudować trwalszą strukturę. Współtworzymy większą całość, jeśli nie jesteśmy osamotnieni. Chciałbym podziękować paniom Justynie Czupilce i Katarzynie Burskiej, panu profesorowi Markowi Genslerowi oraz panu profesorowi Tomaszowi Bocheńskiemu za dogłębne analizy tekstu „Vir deformis, czyli człowiek ułomny”. Pan profesor Marek Gensler w czasie swoich wykładów tak barwnie odzwierciedlił okres Średniowiecza, iż mogłem się pokusić o napisanie tej przypowieści filozoficznej. Dzięki korekcie pań Justyny i Katarzyny tekst ten mógł ukazać się w miesięczniku Twórczość. Składam również podziękowania Dyrekcji Biblioteki Wojewódzkiej imienia Piłsudskiego za umożliwienie spotkania autorskiego. Dziękuję pani Justynie Czupilce i panu doktorowi Henrykowi Pustkowskemu za wyrażoną chęć prowadzenia spotkania. Pani Dominika Dudek i pan Michał Hajduk poświęcili dużo energii i czasu przy pracy nad kołysankami, pani Barbara Solnica wzbogaciła utwór dźwiękiem skrzypiec, zaś pan Jacek Frąś narysował okładkę. Dziękuję bardzo! Dziękuję panu Piotrowi Filasowi za jego pomoc i cierpliwość przy korektach moich prac. Jego uwagi pomogły nadać mojej twórczości większą spójność. Dziękuję także pani Barbarze Konieckiej za zrealizowanie pilotów filmów i jej nieustającą chęć niesienia pomocy. Dziękuję również pani Beacie Pisarkiewicz za pierwszą choreografię do „Baletu z różdżką” oraz paniom Marioli Dubiel i Klaudii Bisikirskiej za współudział w choreografii do filmu o balecie. Dziękuję także wszystkim moim przyjaciółom i innym osobom, które mi pomogły, za ich przychylność i empatię.

Marek Łukaszewicz



Wybór i przygotowanie materiałów: Marek Łukaszewicz

Skład: Ewa Baranowska

Nakład: 50 egz.

Numerы BliKa dostępne są na stronie www.wbp.lodz.pl w dziale **Wydawnictwa własne**